

S I E R P I E N ¹/₂

O zmroku postanowił wyjść, - dłuższe ukrywanie się po zakamarkach piwnicy nie miało sensu. W najbliższym sąsiedztwie domy się paliły. Ten, w którym się ukrywał mogło to spotkać w każdej chwili. Zresztą, nie było nawet co jeść poza paru kostkami cukru w kieszeni .

"Wizyta się przeciągnęła" - usmiechnął się gorzko do samego siebie. Nie był w swoim domu. Jak tysiące innych, wybuch zaskoczył go przypadkiem na mieście , u znajomych. Wiedział , że się na coś zanosi, ale nie wierzył, patrząc na posiłki, które Niemcy w ostatnich dniach lipca ściągali do miasta , żeby to mogło nastąpić właśnie teraz. W uszach mu brzmiały jeszcze przerażone głosy gospodarzy pomieszane z wrzaskami Niemców, gdy, po kilku dniach efemerycznej wolności, dzielnica została opanowana przez wroga. Ocalał równie przypadkowo, jak nieoczekiwanie dla samego siebie. Prosto stanął za drzwiami, którymi go zakrył wpadający żołdak. Temu nie przyszło na myśl zaglądać do tak wątpliwej kryjówki, rozglądał się więc tylko po pustym pozornie pokoju i wraz ze swoimi towarzyszami zabrał się do zgania pozostałych mieszkańców na klatkę schodową, wśród płaczu kobiet i dzieci i zwierzęcego ryku oprawców. Równocześnie na dole - przed domem i na dziedzińcu nie ustawała strzelanina. "Zdobycy" spieszyli się do szybkiego usunięcia mieszkańców domu, żeby móc zająć się w pustym budynku swobodną grabieżą .

Po chwili usłyszał tupot nóg i wrzaski już ze schodów. Ofiary pędzono na dół. Odczekał chwilę i powoli wślizgnął się na klatkę schodową. Była pusta. Ostrożnie zaczął się skradac ku piwnicy. Na pierwszym piętrze leżał trup mężczyzny z rozwaloną czaszką. Z mieszkania dochodził jęk przez uchylone drzwi. W tej chwili zamarł w bezruchu - rozległo się stapanie podkutych butów. Słyszał , jak kilka ich wyszło z piwnicy i trwał

tak zastygnięty w jakiejś niedorzecznej pozycji, wpoi kroku na następny stopień schodów, aż usłyszał jak, na jego szczęście, skierowali się na ulicęskąd dochodziła główna wrzawa. Wtedy, nie mając chwili do stracenia, rzucił się w ciemny otwór piwniczny, skacząc bezszelestnie po trzy stopnie. Działając instyktownie, utracił poczucie rzeczywistości, szedł za jakimiś podszeptami, które działały, jak rozkaz nie znoszący sprzeciwu.

W momencie, gdy poczuł na sobie zimne i wilgotne dotknięcie piwnicy, ~~wstrząsnęła~~ wstrząsnęła nim myśl, że może tam jeszcze zostali jacyś oprawcy. Ale było cicho i pusto i prócz przytłumionych odgłosów z zewnątrz słyszał tylko, jak pulsuje gwałtownie krew w uszach.

Począł się wgrzebywać gorączkowo między jakiś koks i beczki. A potem zaczęło się nasłuchiwanie i oczekiwanie. Oczekiwanie na ten nieunikniony, zdawało się, koniec, który myśli z przerażeniem odpychały, ale który mimo to, czaił się w każdym szmerze i dźwięku rosnącym do przerażających rozmiarów w przeczulonym uchu. Jak fale mrozącego wichru przebiegały świadomość odgłosy podkutych ~~na~~ butów na schodach, rozmowy, w których jednak doczekał się pewnego uspokojenia: Usłyszał oto, jak, jakiś Hans mówi do jakiegoś Fryca, że piwnica już sprawdzona, że tam nikogo nie ma i niczego, co by mogło się przydać. Trzeba będzie jeszcze sprawdzić, czy czego nie zakopali, ale najpierw lepiejby było zabrać się do mieszkań, bo kamraty gotowi nie nie zostawic. Na piwnicę jeszcze i tak czas będzie.

Całą noc trwały odgłosy libacji. Nad ranem zrobiło się cicho. Widac "zabawa" przeniosła się gdzieindziej. W oddali kotłowały się granaty i cekaemy w tyglu powstanczym. Wlokły się powolne, jak bezsenna noc godziny oczekiwania. Jakos nie spieszyli się do ponownego sprawdzania piwnic. To nie przesądzało jednak o dalszym niebezpieczeństwie. Śwąd spalenizny dochodził przez wybite szybki piwnicznego okienka. Czekał na zmrok

AK

jak na wybawienie, jak na wytchnienie w wędrowce kołającego serca. A właściwie zmrok miał być niczem innym, jak początkiem drogi w nieznane, równie może bliskie śmierci, jak to oczekiwanie na dnie piwnicy. W każdym razie sama perspektywa działania uspakajała go. Najgorsze było to oczekiwanie na chwilę, gdy podkute buty zatrzymają się tuż obok jego kryjówki.

Wreszcie dzień sierpniowy zaczął się kończyć, a za okienkiem coraz jaskrawiej błyskały języki płomienia na dogorywającym szkielecie domu po przeciwnej stronie ulicy.

Z największą ostrożnością, płaszcząc się na scianie, wyjrzał na klatkę schodową. Pusto. Pędem do bramy. Tu i owdzie wałowały się strzępy odzieży, zbite butelki, resztki dobytku i żywności. Przed bramą trupy. Zniszczenie i śmierć podawały sobie ręce przez progi płonących domów. Po pus tej uliczce brzmiał trzask waliących się, płonących belek i rozlegały się głosy i kroki, na dźwięk których starał się stopić w jeden kształt z murem kamienicy. Na szczęście kroki i głosy nie brzmiały blisko.

Pozostawało teraz przebiec uliczkę do przecznicy po lewej stronie palącego się domu. Stamtąd już tylko parę kroków i zaczynały się ogródki działkowe - droga do życia

Wydął się sobie samemu widmem, gdy biegł przez iluminowaną, pożarem uliczkę. Wiasne kroki brzmiały w jego uszach, jak bicie dzwonów na alarm. Widocznie jednak były bezszelętne, skoro ujrzana nagle zza węgla odwrócona do niego ^{dyktm} postać wartownika nie zmieniła pozycji, gdy zapadał w pomidorowy gąszcz ogródków. Leżał czas jakiś bez ruchu. Spomiędzy liści patrzył na czerwony od pożarów księżyc.

Tam, w tyglu szatana płonęło jego miasto, jego bliscy, schwytni w straszliwą pułapkę ołowiu i asfaltu, w który nie wsiąka krew. On sam, dzięki ślepemu trafowi czuł pod palcami wilgoc i miękkość ziemi, odu rzał go zapach liści, wydawało mu się, że wrócił do kogoś bliskiego kogo już lata całe nie widział. A przecież była przed nim jeszcze cała

CR

noc mozolnego skradania się, omijania placówek, błyszczących stalowymi hełmami. Teraz już jednak nie był sam, wyczuwał to każdym ~~dotknięciem~~^{to} ~~dotknięciem~~ dłoni, wyczuwał w miękkiej troskliwości z jaką ziemia i liście głużyły odgłosy jego pełzania. To mu dodawało siły i wytrwania. Czołgał się, lub wpół zgięty przebiegał ścieżki i brzozy. Przeważnie jednak musiał się czołgać.

Dotarł w ten sposób do jakiejś szosy, na którą co chwila padały snopy światła reflektorów z przejeżdżających aut i motocykli. Po drugiej stronie szeleściło i falowało zboże. Jemu się jednak zdawało, że to szelesci i faluje - wolność. Wiedział, że w wolność się pogrąża, gdy poczuł na twarzy uderzenie krosów. Wiedział, że teraz nie dojrzy już go wrogie oko. Było tylko móc jak najdalej okrążyć swoją ucieczkę, tym szeleszczącym szczęściem.

Słońce już było wysoko, bo nie chronił go zbytnio przed nim nawet gąszcz ciężkich krosów, gdy postanowił odpocząć. Położył się nawznak. Zmęczone oczy zagłębiły się i roztopiły w błękicie nieba, który był o ton jaśniejszy od barwy pochylającego się tuż nad czołem chabru. Zasnął. poraz pierwszy od kilku dni.

Obudził go jakiś miarowy chrzęst. Musiał długo spać, bo słońce ~~xxxxxx~~ było prawie w tym samym miejscu, co przed zasnięciem. Rozbudzony, poznał odgłos pracujących kos, który pozwoli zbliżyć się ku niemu

..... Zdumionym oczom zniwiarzy ukazała się postać człowieka - widma, z twarzą szarą od sadzy i kurzu, w podartym i brudnym ubraniu. Szedł od strony dymów i dalekiego pogłosu walącego się miasta. Dlatego zrozumieli...

Gdy ich mijali, wymieniali ~~xxxxxx~~ uśmiechy ludzi wolnych, którzy muszą przeżyć - na urągowisko złu. A gdy ich minali, pochylili się znów nad odwiecznym, nieprzemijającym i świętym trudem, szumiących u ich głów, jak Polska